7571

REJESTR DOTYCZY:

GIŻYCKI Jerzy - Mikołaj

s/c Kazimierza i Bronisławy

z d. Jankiewiczów

* 18 maja 1889 we Wróblowcach na Podolu

kraj:

† 20. maja 1970 w

kraj: MEKSYK

pochowany: cmentarz w Oaxaca

nr grobu:

Nr rejestracyjny

550 / 70

Nota zamieszczona:

w tomie

czesci

Suplement z r.1970

Indeks

Copyright: 1970
B.O. Jeżewski

Źródła i bibliografia c.d.

znak rozpoznawczy

Uwagi:

Nota:

Przypisy:

733 - "Wiadomosci nr 1277 błędnie podają, że Jerzy Giżycki był synem Jana Marka Giżyckiego historyka Wołynia

Źródła i bibliografia:

	znak rozpoznawczy
* Wiadomosci nr 1277 2o.9.7o – wspomnienie	5o/nr 1277.2o.VII.70/
* Rocznik Polonii tomy I i III.	122/I i III/
* S-Łoza "Czy wiesz kto to jest" - nota biograf.	1o5/2o4/
* Mały Słownik Pionierow s, 123 nota biogr.	112/ 123/
* Czas nr swiał. grudz. 1976 wspomn i foto	91-A/

Nr 1277, 20th September, 1979

KRONIKA

Ś. P. JERZY GIŻYCKI

W maju b.r. zmarł w Meksyku, przeżywszy lat 80, Jerzy Ordon-Giżycki, któremu pisma polskie, szczególnie „Związkowiec" (Toronto), poświęciły serdeczne wspomnienia. Zmarły był od wczesnej młodości zapalonym podróżnikiem. Wyruszył z Polski w świat po skończeniu studiów! Swoje spostrzeżenia i przeżycia spisywał z dużym rozmachem i barwnością stylu, drukując je w licznych książkach i artykułach, m.in. w „Wiadomościach Literackich", a później też w „Wiadomościach" londyńskich.

Wspomnienia nekrologiczne nie mówią, skąd pochodził. Jeżeli żyje ktoś z jego polskich znajomych, zechce potwierdzić lub zaprzeczyć, czy był w istocie — jak wiele na to wskazuje — synem historyka Wołynia, Jana Marka Giżyckiego, autora monumentalnego dzieła o powiecie starokonstantynowskim. Brak tutaj danych, by ustalić identyczność Jerzego z „synem marnotrawnym" starego historyka, człowieka wielkiej zacności, ale o surowych patriarchalnych zasadach, które doprowadziły syna — prawie na pewno imieniem Jerzy — do buntowniczej ucieczki w świat. Stary Giżycki kończył życie w Krakowie, nie wspominając nigdy o zbiegu, o którego bujnej naturze, zdolnościach i przygodach krążyły legendy.

Jerzy Giżycki był i „cowboy"em i robotnikiem leśnym, poszukiwaczem minerałów nad rzeką Colorado i szoferem Rockefellera. Dopiero po pierwszej wojnie został sekretarzem poselstwa polskiego w Waszyngtonie, skąd przerzucił się do organizacji olimpiad, w Paryżu w r. 1924 i in. Wrócił do włóczęgi, polował w Afryce, znów był konsulem w Abisynii, a potem w innych krajach afrykańskich. W r. 1939, nie przyjęty do wojska francuskiego z powodu zdrowia, pracował w amerykańskim Czerwonym Krzyżu, w konsulacie polskim w Londynie, po czym przeniósł się do Kanady. Działał społecznie, przez dwa lata redagował pismo „Związkowiec", był członkiem Polskiego Instytutu Naukowego w sekcji Toronto.

Ostatnie lata spędził w Meksyku, gdzie studiował obyczaje, tradycje i sztukę ludności, co umożliwiała mu znajomość języka hiszpańskiego, prócz kilku innych. Zaopiekowali się nim w chorobie przyjaciele. Spoczął na ustronnym cmentarzu w meksykańskiej miejscowości Oaxaca.

JERZY

Żył WŚRÓD NAS TEN NIEZWYKŁY CZŁOWIEK, WIELU Z NAS PAMIĘTA GO JESZCZE DOBRZE...Kiedy umierał przed kilku laty w Oaxace, w Meksyku, dłoń meksykańskich przyjaciół zamknęła mu powieki i ułożyła na spoczynek w ziemi, którą wybrał; pożegnaliśmy bliskiego nam człowieka (mimo ciągłych kłótni i utarczek) w jednej z naszych książek:

"Pochodził ze znanej powszechnie rodziny, z ziemi kresowej i bujnej - z Wołynia.

Życie miał barwne i ciekawe, chociaż mimo powodzeń i sukcesów, nie wolne od goryczy i zawodów. Był dyplomatą, działaczem olimpijskim, podróżnikiem i myśliwym, autorem poczytnych książek, współpracownikiem przedwojennych "Wiado-



Jerzy Giżycki

mości Literackich" i powojennych "Wiadomości" londyńskich. Był kowbojem, drwalem, prospektorem w Górach Skalistych, szoferem. Pracował w Amerykańskim Czerwonym Krzyżu i Konsulacie polskim w Londynie. Po drugiej wojnie wydawał "Związkowca" w Toronto. działał społecznie, był członkiem Polskiego Instytutu Naukowego. Potem przeniósł się do Meksyku i zamieszkał na stałe w Oaxace. Nie usłyszymy już opowiadań z Utah, Newady i Arizony. Nie posprzeczamy się na religijne tematy. Nie opowie nam o tajemnicach archeologów sięgających do głębi pokładów jakimi nawarstwiają się kultury. Ani usta raconteura nie wydobędą z zapomnienia uroczych ludzi, ciekawostki obyczajowej, kresowej anegdoty. Ani nie pójdziemy już razem przez afrykański busz...Miał 80 lat kiedy przeprawiał się - na tamten brzeg. Nazywał się Jerzy Giżycki.

Pozostawił po sobie dużą spuściznę literacką i malarską. Nie powinniśmy dopuścić za żadną cenę by spuścizna ta się zmarnowała... Przed wojną napisał pięć książek z których najgłośniejsza "Biali i Czarni" wydana w 1934 r. u Gebethnera i Wolfa w Warszawie jest pełnym oburzenia oskarżeniem na stosunki panujące w koloniach francuskich. Książka ta narobiła sporo hałasu we Francji, dopiero późniejsze prace autorów francuskich, wykazały jak cenne były jego wnioski i przepowiednie co do losów tego kontynentu.

Drukujemy tutaj obszerny fragment z tej książki. Niechaj chociaż w ten sposób złożony zostanie hołd pamięci niepospolitego człowieka, wspaniałego Polaka i Przyjaciela.

A.T.

NA SKRAJU PUSZCZY

Przeciskam się z trudem przez gąszcz lian i splątanych krzewów, otulających topy leśnych olbrzymów.

Nade mną szeroko rozrosłe korony tworzą zwarty, ciemny strop, wobec którego bezsilny jest świeży powiew wiatru.

Tnąc kordelasem na prawo i lewo festony zdradliwych, cienkich sznurów, chwytających za koszulę, za hełm, a skórę setkami ostrych jak igły haczyków, posuwam się z trudem, grzęznąc po kostki w wilgotnym humusie.

Pigmej, pełznący po odwiecznym cmentarzysku olbrzymów. Marny, bezsilny człowieczek, niepotrzebny, nieprzewidziany tutaj w planie stworzenia.

Teraz idę swobodniej, jakby korytarzem o ścianach ze zwartej zieleni.

— Ścieżka bawołów — mówi mój czarny strzelec.

Schylam się, wślizguję do ściastego tunelu i w chwilę później jestem na zalanej słońcem sawannie.

Olbrzymia polana pokryta czystą, sięgającą po kolana

Widzimy ich tropy tu i ówdzie, ale bądź wczorajsze, bądź tak zmylone i zagmatwane, że nawet mój świetny tropiciel uważa "odczytywanie" ich za niecelowe, proponując natomiast, żebyśmy oszczędzili sobie czasu i fatygi, gdyż jesteśmy mocno obładowani — i posuwali się ostrożnie wzdłuż skraju lasu. Natkniemy się może w ten sposób na jakie stado, powracające na dzień do puszczy po obfitym śniadaniu.

Reszta "karawany" — moi towarzysze i czarni tragarze pozostali za nami, zniechęceni bezowocnością długich poszukiwań. Nie chciałem jednak dać za wygraną i wziąwszy ze sobą tylko strzelca — ruszyłem dalej we dwójkę. W rezultacie, oprócz naszych sztucerów, dźwigamy aparat kinowy i pudło z zapasowymi filmami.

Mijamy grupę smukłych palm "rogniers", przypominających olbrzymie miotełki z piór, związane operetkowo - kinową tradycją z figlarnemi fartuszkami i koronko-

naoliwionego aparatu brzmi dla mych uszu, jak niebiańska muzyka. Musi ono jednak być dość podejrzane dla tej płowej wielkiej bestii, która, przestawszy się paść, wpatruje się bacznie w maskujące nas krzaki.

— Strzelaj! Strzelaj! — szepce za mną mój Murzyn, obawiając się widocznie, by wielkie zwierzę, zaatakowawszy podejrzany krzew, nie pociągnęło za sobą reszty stada.

Puszczam korbę, chwytam za Mauzer i mierząc w nasadę szyi, naciskam cyngiel.

Równocześnie tropiciel strzela do innej sztuki.

Cicha dotąd sawanna napełnia się naraz hukiem, łomotem racic, trzaskiem łamanych krzaków, żałośliwem porykiwaniem nie mogących nadążyć za matkami cieląków.

"Mój" bawół pada na miejscu, zwalony olbrzymią kulą dum - dum. Natomiast stożkowaty ośmio - milimetrowy pocisk z karabinu strzelca, nie dający niezbędnego dla tak wielkiej sztuki "szoku" —

Tym razem jednak nie muszę walczyć z zagradzającemi drogę lianami, przeciskać się przez gąszcz krzewów, prześlizgiwać się pośród zwałów omszałych, próchniejących pni. Idziemy po ścieżynie prowadzącej do małej murzyńskiej wioski, przycupniętej między skrajem puszczy, a pełnym wielkich głazów "marigot", jak nazywają tutaj rzeczki, przekształcające się podczas suchego okresu roku w szereg basenów, złączonych jedynie małymi strumieniami, wijącemi się wśród piaszczystych łach i kamienistych porohów.

Wyszedłem przed świtem, wypiwszy tylko naprędce filiżankę czarnej kawy. Teraz jest już dziewiąta, i puste kiszki zaczynają się buntować. Siadam na grubym korzeniu, umacniającym w tym wiecznie miękkim gruncie jakieś olbrzymie drzewo i wyciągam z niesionej przez jednego z Murzynów sakwy termos z chłodną lemoniadą i wiktuałami, którymi dzielę

e zwartej zieleni.

— Ścieżka bawołów — ówi mój czarny strzelec.

Schylam się, wślizguję do ściastego tunelu i w chwilę ózniej jestem na zalanej ońcem sawannie.

Olbrzymia polana pokryta czystą, sięgającą po kolana awą, usiana tu i ówdzie ombami krzewów, skrzy się iliardami błysków, zapala- ych na każdej kropli rosy, a każdym lśniącym od wil- oci listku.

Wreszcie jestem znów w wiecie, gdzie płuca nie dychają obmierzłych ora- eryjnych wyparów, gdzie oryzont nie jest kołem o me- owym promieniu i gdzie eprzytłaczany potęgą przy- ody człowiek odzyskuje kby swój zwykły format i iarę w niejaką wartość swej gzystencji.

Chwilę stoimy szołomieni, potem strzelec arzuca na ramię mój kinowy parat. Ja odsuwam ezpiecznik mego wielkoka- browego Mauzera. uszamy.

Trawa gnie się pod aszemi krokami prawie bez elestu. Moje płócienne antofle o sznurowanych odeszwach są prawie ownie ciche, jak gołe stopy ego Murzyna, a jednak, łyśmy w pół godziny ózniej wyszli z za grupy ewielkich drzewek, askujących przed nami lszą połać sawanny — sące się o jakieś dwieście etrów dalej stado antylop jwidoczniej wiedziało już naszem zbliżaniu się i espokojnie zwracało ku m kilkadziesiąt pięknych unatnych głów.

Ale dzisiaj nie kieruję ku m lufy mego sztucera, ani klistego oka mego aparatu. st to dzień przeznaczony bawoły.

naszych sztucerów, dźwigamy aparat kinowy i pudło z zapasowymi filmami.

Mijamy grupę smukłych palm "rogniers", przypominających olbrzymie miotełki z piór, związane operetkowo - kinową tradycją z figlarnemi fartuszkami i koronkowemi czapeczkami fertycznych subretek.

Tracę grunt pod jedną nogą i padam na kolana, unosząc instynktownie sztucer ponad mokrą od rosy trawę.

— Ślady słoni — mówi strzelec. — Przychodziły tu otrząsać owoce rogniers.

W rozmiękłej ziemi dokoła giętkich, zwężonych u dołu pni — mnóstwo głębokich na jakieś czterdzieści centymetrów wgłębień podobnych do mojej "pułapki" Szczególnie jeden słoń musiał być olbrzymi. Staję w jego śladzie swobodnie "obunóż", palcami jednej nogi dotykając pięty drugiej.

Ale nie czas teraz na gapiostwa i przydługie obserwacje. Jeżeli w ciągu pół godzony nie natrafimy na poszukiwaną przez nas zwierzynę — dzień można będzie uważać za stracony. Bawoły schronią się przed dziennym upałem do leśnej gęstwi, gdzie polować na nie byłoby bardzo trudno i niebezpiecznie, a filmować nie można wcale.

Ruszamy ostro. W dziesięć minut później, idący przedemną strzelec staje raptownie i wskazuje ku środkowi polany.

Z małego lasku, o jakieś trzysta metrów od nas, wychodzi ze czterdzieści sztuk liczące stadko bawołów i pasąc się po drodze, zmierza wolno ku nam. Na szczęście krzaki zakrywają nas aż po ramiona.

Zgięci wpół, mkniemy ku kępce niewielkich drzewek na skraju większej otwartej przestrzeni.

Ustawiam na gwałt aparat, maskując go jak mogę, opieram o trójnóg sztucer, ocieram obiektyw, sprawdzam, czy wszystko w porządku, zasuwam za pas, by go mieć tuż pod ręką, zapasowy magazyn z nabojami.

Jeszcze kilka chwil szarpiących nerwy i stado zbliża się na czterdzieści — pięćdziesiąt kroków, przystaje i poczyna się paść.

Kręcę.

Co za niesłychana okazja! — myślę uradowany, zapomniawszy o zmęczeniu, upale, niedawnych obawach fiaska. Nikt tak blisko nie filmował tych czujnych i podobno niebezpiecznych zwierząt. Oby tylko zdjęcia były udane!

Ciche terkotanie dobrze mogących nadążyć za matkami cielaków.

"Mój" bawół pada na miejscu, zwalony olbrzymią kulą dum - dum. Natomiast stożkowaty ośmio - milimetrowy pocisk z karabinu strzelca, nie dający niezbędnego dla tak wielkiej sztuki "szoku" — okazał się zbyt słaby.

Zwierzę padło wprawdzie na przednie kolana, zerwało się jednak zaraz i pomknęło za stadem.

Murzyn, świetny strzelec, repetuje z pasją, lecz tani "kolonialny", francuski sztucer się zacina.

Żal mi biedaka, więc szybko podaję mu swój Mauzer i Murzyn, pozostawiwszy mi swój bezużyteczny grat i błysnąwszy z ukontentowaniem zębami, pędzi za znikającymi wśród krzewów bawołami.

Majstruję przy sztucerze strzelca, starając się wyciągnąć ugrzęzły nabój, gdy naraz słyszę poza sobą jakiś ruch. Odwracam się szybko i widzę, że mój bawół ożył i poczyna się dźwigać na nogi. Zwierzę nie padło martwe, jakem przypuszczał, tylko ogłuszone szokiem i teraz, za parę sekund będę miał do czynienia z owym postrachem afrykańskich myśliwych — rannym, rozjuszonym bawołem.

Gorączkowo dłubię kordelasem w magazynie przeklętej flinty — naprożno. Dokoła, w znacznym promieniu, nie ma ani jednego większego drzewa, na które mógłbym się wdrapać. Nie wiem, jak daleko mój strzelec zapędził się za ranioną sztuką.

Przyznam się, że przez krótką chwilę było mi dość głupio. Wtem bawół wali się ciężko na bok. Kilka gwałtownych rzutów nóg, krótkie chrapliwe rzężenie. Potem bezruch śmierci.

W kilka minut później wrócił strzelec z nosem na kwintę. Okazało się, że bawoły, nie wyłączając rannego, wpadły do gęstej puszczy, gdzie iść za niemi byłoby szaleństwem.

Moja opowieść o niedawnej emocjonującej chwili robi na nim wielkie wrażenie. Zmieszany, wyrzuca sobie, że pozostawił mnie samego.

— Któż mógł przypuścić, że ta bestia ożyje! — Mówię, by uspokoić poczciwca. Lecz z jego skonfudowanych tłumaczeń wnioskuję, że z bawołami jak i ze słoniami, podobne wypadki zdarzają się stosunkowo dość często, należy więc zachowywać się bardzo ostrożnie, dopóki się nie przekona, że zwierzę jest martwe.

kiszki zaczynają się buntować. Siadam na grubym korzeniu, umacniającym w tym wiecznie miękkim gruncie jakieś olbrzymie drzewo i wyciągam z niesionej przez jednego z Murzynów sakwy termos z chłodną lemoniadą i wiktuałami, którymi dzielę się ze strzelcem.

Tragarze kucają opodal i teraz dopiero spostrzegam, że nie mają ze sobą prowiantów, zabieranych zwykle przez tubylców na drogę.

Na zapytanie moje strzelec, trochę zmieszany, tłumaczy mi z pogardliwym ruchem głowy w stronę Murzynów, zawistnie śledzących każdy ruch naszych szczęk, że "tym dzikusom" strasznie się chce mięsa, ale mają przesąd, jakoby polowanie nie mogło się udać, jeśli zabiorą ze sobą prowianty.

W chwilę potem słyszę ruch wśród gęstych koron drzewnych nad naszemi głowami. Stado czarnych małp przygląda się nam bezczelnie, przywykłe widocznie do tego, że nic im nie grozi ze strony rozbrojonych przez władze francuskie niezbyt "pewnych" tubylców, którzy potrafili jeszcze nie tak dawno zjeść brata mego znajomego, tradera z Buake. Jazgocą sobie najspokojniej, dzieląc się może niezbyt dla nas pochlebnymi uwagami.

Na prośbę tropiciela, który zapewnia, że jesteśmy jeszcze zbyt daleko od siedliska hipopotamów, aby strzał mógł je spłoszyć, strącam kulą jednego z naszych "krytyków" ku wielkiej uciesze głodnych tragarzy.

Rozpalają też natychmiast spory ogień i wkładają doń po prostu nieszczęsną małpę ze skórą i wnętrznościami.

W tym kraju, gdzie z powodu zabijającej domowe zwierzęta muchy tse-tse, hodowla jest prawie niemożliwa, a zwierzynę trudno upolować w braku broni — mięso stało się nie tylko smakowitym, wysoce cenionym specjałem, ale i pożywieniem niezbędnym dla zdrowia.

Ludność, żywiąca się prawie wyłącznie korzeniami, jak manjok czy injam, nie absorbuje pewnych kategoryj potrzebnych witamin, więc pragnienie mięsa przechodzi u niej nieraz w prawdziwą potężną żądzę, niezrozumiałą dla europejczyka.

W jakieś dwadzieścia minut po włożeniu małpy do ognia,

Ciąg dalszy na str. 9

Vesołych Świąt
owego Roku

larchlewicz
ncy Ltd.
CHOWA OBSŁUGA.
KIEGO RODZAJU.
RONTO, ONT.

NA SKRAJU PUSZCZY

(Wyjątek z "Biali i Czarni")

Murzyni już wyciągnęli ją, dziwnie podobną do trupka dziecka, wygrzebanego spod żużli pogorzeliska i ofiarowawszy mi "honorowe" serce, zaczęli pakować w siebie okropnie zwęglone z wierzchu, a prawie surowe wewnątrz ochłapy.

Skończywszy śniadanie ruszamy raźno i w jakąś godzinę później jesteśmy u rzeki. Wieś marna, jak zwykle w "Wielkim Lesie", składa się jedynie z kilkunastu mizernych kaz, sklecony z bambusów i liści.

Na wieść o przybyciu "białego" senne osiedle nagle się ożywia. Choć to gratka nielada: biały, który nie tylko nie przychodzi zbierać podatków lub spisywać dla nich ludność, brać rekruta lub nacinać ramiona dla jakichś niepojętych, a przez to samo podejrzanych praktyk szczepienia — lecz jest "człowiekiem od strzelby" i kto wie, da może kawał upragnionego mięsa.

Więc kto żyw podąża śpiesznie do maleńkiej przystani, gdzie biały odpoczywa na kamieniu w oczekiwaniu pirogi, którą na jego rozkaz kilku chłopaków oczyszcza nagwałt z nieświeżych odpadków ryb i gnijących liści.

Biegną pędem nagie, wielkobrzuche dzieciaki, a oczy świecą się im na myśl o nieoczekiwanym widowisku.

Kobiety z przytroczonymi na plecach niemowlętami suną bokiem pod chatami, chwytając po drodze, dla kontenansu, ta drewnianą misę, która musi być zaraz wymyta w rzece, tamta — jakąś płachtę, której natychmiastowe wypranie jest absolutną i oczywistą koniecznością.

Zbita grupka chichoczących z zażenowania i potrącających się łokciami dziewcząt o jędrnych nagich piersiach podchodzi zygzakiem — udając, że przypadkowo znalazły się na przystani.

Mężczyźni, po krótkiej dyskretnej naradzie, idą z wójtem na czele, wprost ku białemu i pytają, za pośrednictwem strzelca, jaką jest jego wola.

Każę strzelcowi upewnić się raz jeszcze dokładnie co do miejsca pobytu hipopotamów, zażądać paru dobrze znających teren ludzi i

Teraz pełzamy na kolanach — strzelec z naszemi sztucerami, ja z ciężkim aparatem, z którym nie chcę się rozstać w obawie, aby w nie umiejętnych murzyńskich rękach nie przytrafiło mu się co w ostatniej chwili.

Przed nami przebłyskuje wśród gąszczy migotliwa tafla. Przecieliśmy niewielki cypel i jesteśmy znów nad rzeką, robiącą w tym miejscu ostry łuk.

Strzelec usuwa się trochę w bok i daje mi znak bym się zbliżył. Podpełzam ostrożnie. Murzyn rozchyla wolno ostatnią zasłonę gałęzi.

O jakieś dwadzieścia metrów przede mną, stojąc bokiem do nas po brzuch w płytkiej wodzie, wygrzewa się sennie na słońcu wielki hipopotam.

Czuję, jak serce łomoce mi w piersiach, krew tętni w skroniach, ciało pokrywa się gęsią skórką, jak od chłodnego powiewu.

Zafascynowany, zastygły w niewygodnej pozie, patrzę bez ruchu na rzecznego potwora.

Strzelec dotyka mego ramienia i wsuwa mi pod rękę mój Mauzer. Potrząsam głową: nie teraz. Unoszę z niesłychaną ostrożnością aparat już zawczasu zmontowany na skróconym trójnogu i klęcząc, "celuję". Olbrzymia bestia ledwie się mieści w moim wizjerze. Zaczynam "kręcić". Hipopotam drgnął. To ciche, monotonne terkotanie, ten metalowy dźwięk nie znanej mu kategorii intryguje go, ale nie płoszy. Wziął go może za "granie" jakiegoś wielkiego świerszcza. Przekrzywiwszy trochę swój potworny łeb, poczyna go zwracać w naszą stronę; nagle drgnął i wpatruje się z oznakami niepokoju w punkt wybrzeża o jakieś pięćdziesiąt metrów w bok od nas.

Mam już wystarczający metraż filmu. Unoszę wolno sztucer i mierząc w oko, strzelam. Z dziwnem przechodzącem jakby w jęk, potężnem chrapnięciem hipopotam rzuca się ku głębinie. Lecą na wsze strony olbrzymie wodne bryzgi. Kilka sekund trwa jakieś potworne kotłowanie i zwierzę znika.

Spoglądam, niepewny, na mego Murzyna. Ten wstaje spokojnie, odpręża się jakby i zarzucając na ramię swój sztucer, mówi z uśmiechem:

— Jest!

Jakto: "jest"? — myślę sobie. Jeszcze chwila, a znikną na wodnej tafli ostatnie kręgi, pozostałe po moim bezwiednym filmowym gwiazdorze...

Chciałem spróbować szybko nadpłynąć łodzią na miejsce, gdzie przed chwilą znikł hipopotam, aby tam czekać na jego wypłynięcie — ale strzelec temu stanowczo się sprzeciwił; twierdził, że byłoby to imprezą ogromnie niebezpieczną, że hipopotam może przewrócić naszą łódź i zamieniwszy się ze zwierzyny w myśliwego — urządzić sobie dopiero na nas polowanie.

W jakieś dwie i pół godziny po strzale do hipopotama, gdy po powrocie na miejsce mordu, siedziałem gawędząc ze strzelcem na nadbrzeżnym kamieniu — ujrzałem wychylający się z wody okrągły, szarawy przedmiot. Była to pięta hipopotama. Wypływał, jak zwykle w tych wypadkach, nogami do góry, unoszony tworzącemi się we wnętrznościach gazami.

Murzyni z radosnemi

Ciąg dalszy ze str. 7

RZEŹBY WITA STWOSZA Z NORYMBERGII



rójtem na czele, wprost ku
iałemu i pytają, za pośednictwem strzelca, jaką jest
ego wola.

Każę strzelcowi upewnić
ę raz jeszcze dokładnie co
o miejsca pobytu hipopomów, zażądać paru dobrze
ających teren ludzi i
biecać, w razie pomyślnego
olowania, sporo mięsa dla
si.

Wybucha niesłychany enzjazm, zrozumiały dla tego
o wie, że wobec rozbroje-
a ludności wielu urzęników kolonialnych z leśych okręgów, nie mówiąc
ż o traderach, korzysta, że
k powiem, z braku konkuncji i sprzedaje drogo tulcom swą myśliwską zdocz. Znam wypadki, gdzie
zędnicy z Wybrzeża Kości
oniowej, polując w wolch chwilach, podwajali w
n sposób swoje pobory.
esportowy, nieetyczny
yczaj, wstrętny dla każgo prawdziwego myśliwca.

dziemy prawie krok za
okiem, rozchylając
ezie, przeciskając się
ród gmatwaniny ljan i
odych pędów.





oku życzy

IACY

EL. 536-2116-7

cyjne,

Świąt

go Roku

LTD.

CO

159-6391

el. 766-1164

WESOŁYCH ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA
I SZCZĘŚLIWEGO NOWEGO ROKU
wszystkim Przyjaciołom i całej Polonii życzy

APTEKA ROTHBARTA

676 Queen St. W. — Tel. 363-2800
Toronto 3, Ont.

Lekarstwa — najbardziej pożądana w Polsce pomoc. Wysyła każde potrzebne lekarstwo. Najszybciej — bo pocztą lotniczą lub wprost z Europy. Najtaniej — bo wykonuje każdą receptę krajową lub zagraniczną po cenach eksportowych. Najpewniej — bo są wykonane przez polskich farmaceutów, gwarantowane, wolne od cła i doręczane wprost do rąk odbiorcy. Posiadamy wielki wybór ziół leczniczych, leków starokrajowych oraz maść Ojca Justyna. Wykonujemy recepty "Blue Cross".

Naj
Świą

TURN
FUNERA

ZAKŁADY
Rzetelna i

436 Roncesvalles Ave
2357 Bloor St. West

2180 Hurontario St.

Czy wiesz kto to jest?

Adres URL obiektu
https://polona.pl/preview/9cdd5827-d612-4ab2-a6a5-0ed94203f80a

Data wygenerowania dokumentu pdf
11.07.2023

POLONA/

Domena publiczna

Informacje

Tytuł ujednolicony
Czy wiesz kto to jest?
Autor
Data powstania dokumentu
1983

Prawa do utworu
Domena Publiczna. Wolno zwielokrotniać, zmieniać i rozpowszechniać oraz wykonywać utwór, nawet w celach komercyjnych, bez konieczności pytania o zgodę. Wykorzystując utwór należy pamiętać o poszanowaniu autorskich praw osobistych Twórcy.
Źródło
Biblioteka Narodowa

Kaz. Prac. w org. niepodległ., w czasie wojny zesł. na Sybir. W 1917—19 dyr. gimn. Mac. Pol. w Kijowie. W 1924—30 dyr. admin. P. A. T. W 1930—32 stud. zagadn. morskie. Od 1932 szef pras. w samorządzie gospodarcz., red. tyg. „Rzemiosło". Ogł. m. in.: Polska a morze (Warszawa 1932); Polska na morzu (Warszawa 1932); Jan Kiliński i jego czasy (Warszawa 1936). Warszawa, Kaliska 17, tel. 7-17-22.

GINSBERT JULIAN MIECZYSŁAW (pseud. POKER JIM, KPT. NEMO). Inż. Liter. Public. morski. * 18. 5. 1892 w Warszawie. S. Henryka i Stefanii z Lipskich. Uk. gimn. M. Kreczmara w Warszawie i studia na wydz. mech. polit. w Nancy, nast. w Paryżu. Ucz. str. szk.; w l. 1913—14 w Zw. Strzel., w 1916 zaciągn. się do Legii Cudz. a w 1917 do Armii Pol. we Francji, z którą w 4. 1919 wrócił do Polski, gdzie uczestn. w dział. na fr. ukr. i bolszew. Po wojnie ofic. łącznik. przy Misji Wojsk. Fr. w Polsce. Od 1923 por. rez. Czł. zarz. gł. L. M. i K., gdzie zainicjował konto F. O. M., napis. szereg broszur propag. Współpr. w red. Polski Zbrojnej, w Tow. Polsko-Franc., Inst. Bałt., Stow. Liter. i Dzien. Ogł. powieści: Wyspa węży, Strażnik Krakatoa, Trójkolorowa bandera, Błękitni rycerze, Panna wodna, Król Gibraltaru, Zemsta Mandragory, Zdzich szuka ojca, Bandera na oceanie, Półdiablę Dan; liczne nowele; broszury: Co to jest marynarka wojenna, Pro mare nostro; art. w Polsce Zbrojnej, Kur. Warsz., I. K. C., Przegl. Morskim, Tyg. Ilustrow. Sekr. red. Przegl. Morskiego. Odzn.: K. W., K. Z. zł., M. N., M. za W., fr. L. H. 5, fr. K. Woj., fr. M. W. W., M. I. Warszawa, Hoża 62, m. 7, tel. 9-34-96

GINWIŁŁ-PIOTROWSKI STANISŁAW. Inż.-archit. * 20. 3. 1900 w Krakowie. S. Edmunda i Julii z Ettmayerów. Oż. 27. 4. 1929 z Zofią Samborską. Do szk. śr. ucz. w Wiedniu, Zakopanem i Krakowie, uk. wydz. archit. Polit. Warsz. w 1926. Za czas. szk. czł. harc. i kół samokszt., za czas. akad. czł. Br. Pom. W 1920 sł. ochotn. na fr. wołyńsk. Kier. Biura Planu Region. Zagł. Górn.-Hutn. w Katowicach. Czł. S. A. R. P., b. czł. S. A. P. Proj.: bud. poselstwa polskiego w Sofii (nagr.), rozpl. terenów przy katedrze w Katowicach, uzyskał szereg nagród m. in. na konk. na Muzeum Narod. w Krakowie, na kościół Opatrzności. Wyk. planu zabud. Wieliczki. Ogł. art. z dziedz. urbanist. w prasie codz. i fach. Katowice, Słowackiego 12, tel. 3-54-78.

GIRKIN JAROSŁAW. Inż.-architekt. * 13. 9. 1896 w Oranach. S. Tadeusza i Heleny z Tubielewiczów. Oż. w 1929 z Marylą Janowską. Uk. Polit. Warsz. Nal. do Polsk. Oddz. Wojsk. Brał udział w samoobron. Litwy i Białej Rusi. Od 1919 do 1. 1921 sł. w dyw. Lit.-Białor. Wicedyr. Urz. Insp. Budowl. Wyk. m. in.: plan dzieln. reprez. w Białymstoku, proj. domu lud. im. Marsz. Piłsudskiego w Białymstoku, pomnik Poległ. Żołn. w Białymstoku, dom ludowy im. wojew. Kościałkowskiego w Supraślu, budowę kośc. w Nowo-Święcianach, rozbud. fabr. tytoniu w Wilnie, gmach star. w Brasławiu, gmach Z. U. P. U. w Brześciu n. Bug., proj. przebud. gmachu Senatu w Warszawie. Warszawa, Raszyńska 44 m. 11, tel. 9-31-92.



GIRS ANATOL. Art.-graf. * 1904. Od 1928 prac. z Bolesławem Barczem. Wyk. liczne prace z zakr. drzewor., litogr. i graf. reklam. Oprac. graf. m. in. książki: cykl Pięciu na Olimpiadę, SP-AEU, Album Legionów Polskich, Polska na morzu, Ilustrowana kronika Legionów Polskich, Polska lotnicza, album turyst. Polska, Księga chwały piechoty, Legenda o masztowej sośnie, Maria Piłsudska — Matka Marszałka, Szczytami Karpat, W walce o szczyty Andów, Poezja Legionów, Na gdyńskim szlaku, Przygody Sindbada-żeglarza. Oprac. czc. Militari, odl. w 1937. Otrz.: med. zł. w Wilnie (1933), med. zł. we Florencji (1933), Grand Cup w Londynie (1934), med. zł. i Grand Prix w Mendozie (1934), med. zł. i Grand Prix w Brukseli (1936), med. zł. w Tel Aviv (1936). Warszawa, Smolna 40, tel. 2-00-53.

GISTEDT-KILTYNOWICZOWA ELNA. Art. dram. i śpiew. operetk. * 26. 1. 1900 w Stockholmie. C. Ernsta i Marii z Belszerów. Zaśl. 24. 8. 1922 Witolda Kiltynowicza. Uk. szk. śr. w Stockholmie, odbyła stud. śpiewu w Stockholmie, Berlinie, Petersburgu i Warszawie. Debiut. w „Dawidzie Copperfieldzie" i w „Księżniczce Czardaszce", śpiewała główne role w operetkach Kalmana, Lehara, Stolza, Offenbacha i O. Straussa, w stolicach państw skandyn. i bałtyck. oraz w Warszawie i większych miastach prowincjon. Polski. Występ. w film. Warszawa, Wawelska 72, tel. 9-79-71.

GIŻYCKI JERZY MIKOŁAJ. Podróżn. Literat. * 18. 5. 1889 we Wróblowcach, na Podolu ros. S. Kazimierza i Bronisławy z Jankiewiczów. Uk. gimn. w Żytomie-

rzu, nast. stud. w akad. roln. w Hohenheimie i na uniw. w Halle i w Brukseli. Jako ucz. czł. tajn. org. młodz. w Żytomierzu. W l. 1914—1923 przebywał w St. Zjedn. A. P., sł. w w. ameryk. Od 1920 czł. poselstwa polsk. w Waszyngtonie. W 1924—25 czł. paryskiego Tow. Pracy Społ.-Kult. dla wych. polsk. we Francji. Od 1925 prow. stud. etnograf. i społ. we Franc. Afr. Podzwrotnik. W 1932 powr. do kraju. 1937 mianow. kons. polsk. w Adis-Abbebie. B. sekret. Pol. Kom. Olimp. na VIII Olimpiadzie. Przed wojną prac. w zakop. sekcji narc. Dokonał pierwsz. przejścia zim. przez Mięguszowiecki i Ornak; przebył na łodzi po raz pierwszy porohy na rzece Neckar. Ogł.: Chleb i chimera, „Między morzem a pustynią", „Na dalekim zachodzie" (dla młodz.), „Przez dżungle i stepy" (dla młodz.), „Poto-Poto" (utwór sceniczny), „Biali i czarni" (tłum. na niem); szereg art. Autor słuchowisk rad. Wygł. odczyty.

GIZBERT-STUDNICKI WACŁAW, patrz: STUDNICKI-GIZBERT.

GIZBERT-STUDNICKI WITOLD, patrz: STUDNICKI-GIZBERT.

GIZBERT-STUDNICKI WŁADYSŁAW, patrz: STUDNICKI-GIZBERT.

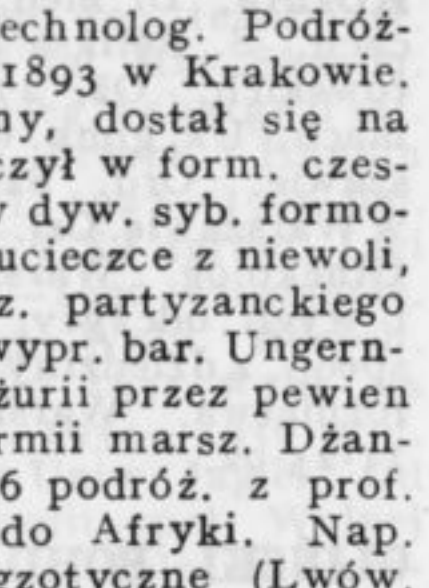
GIŻYCKI KAMIL. Technolog. Podróżnik. Literat. * 18. 9. 1893 w Krakowie. Ranny w czasie wojny, dostał się na Syberię. W 1918 walczył w form. czeskich z bolszewikami, w dyw. syb. formował pociąg techn. Po ucieczce z niewoli, walczył na czele oddz. partyzanckiego w Urianchaju, uczest. wypr. bar. Ungern-Sternberga. W Mandżurii przez pewien czas instr. techn. w armii marsz. Dżan-So-Lina. W 1925—26 podróż. z prof. A. F. Ossendowskim do Afryki. Nap. m. in.: Polowanie egzotyczne (Lwów, 1927), Przez Urianchaj i Mongolię (Lwów 1929), Przez knieje i stepy (Poznań 1930), Przez czarny ląd. W dżunglach Indochin. Powitno, gm. Mszana, koło Lwowa.

GIŻYCKI WŁADYSŁAW JÓZEF KONRAD. Pedagog. * 25. 11. 1875. S. Jana i Apolonii ze Słowikowskich. Oż. 26. 4. 1908 z Janiną Kiwerską. Maturę uzysk. w Jarosławiu, ukończył wydz. prawny Uniw. Jagiel. w 1902, nast. wydz. fil. tegoż Uniw. w 1906. W 1915 jeden z gł. org. szkol. polsk. na wygn. w Moskwie. Po powr. do kraju prac. w Tow. Eugeniczn. jako przewodn. sekcji wych. W 1927 org. i prezes Polsk. Zw. Łuczników, czł. stoł. kom. W. F. i P. W. W 1929 do 1935 czł. Rady Nauk. Wych. Fiz. W 1931 prez. oddz. mokotowskiego Zw. Strzel., od 1935 hon. prez. tegoż. oddz. Od szeregu lat. wicepr. Nauczyc. Kl. Strzel., zał. i dyr. gimnazjum męskiego w Wierzbnie. Odzn. K. Z. zł. Warszawa, Puławska 113, tel. 4-22-99.



GLABISZ KAZIMIERZ. Mgr praw. Płk dypl. * 10. 2. 1893 w Odolanowie, woj. poznańskie. S. Mieczysława i Bolesławy z Bobowskich. Uk. gimn. humanist. w Ostrowie Pozn. (1913), wydz. prawa i adm. Uniw. Poznańsk. i Wyż. Szk. Woj. (1923 r.). 5. 1915—12. 1918 sł. w w. niem. Uczestn. powst. wlkp., nast. sł. w w. p. Od 6. 1920 w O. III. Nacz. Dow. 9. 1920—5. 1921 osob. ref. op. w adiutant. Nacz. Wodza. Po wojnie m. in. w Biurze Ścisł. Rady Woj., szef. szt. dyw. piech., dca dyonu art., deleg. do rok. z Niemcami w Berlinie, w O. II. Szt. Gł., of. do zlec. Gen. Insp. Sił Zbr. Prac. na polu org. sportu. Przewodn. Polsk. Komit. Olimp. Odzn.: K. N. z miecz., O. P. 4, K. W., K. Z. zł., K. na Śl. Wst. Wal. i Zasł., M. za W., M. 10-l. O. N., belg. Leop. 5, czechosł. L. B. 4, fr. L. H. 4, Gw. Rum. 3, est. Kotk. 3, łot. 3 Gw. 3, Olimp. Odzn. Hon. 1.

GLASER STEFAN. Dr praw. * 20. 1. 1895 w Tarnowie. S. Ludwika. Oż. 1920 z Martą Broniewską. Uk. wydz. prawny Uniw. Jagiel. Po uk. studiów doc. Uniw. Jagiel., sędzia śl. S. O. w Lublinie (1920 do 22), prof. prawa karnego i proc. karnej Kat. Uniw. Lubelsk. (1920—1924), nast. Uniw. St. Bat. od 1924. Ogł. Prawo karne (1920), Kompetencja sądów przysięgłych (1923), Przestępstwa przeciwko obyczajności, Pojęcie sprawiedliwości w prawie karnym (1925), Spędzenie płodu ze stanowiska prawa karnego (1928), Wstęp do nauki procesu karnego (1928), Zarys polskiego procesu karnego (1929), Ignorantia iuris en droit pénal (1932). Wilno, Wielka 17; Warszawa, Lwowska 1, tel. 8-62-06.



GLASS JAKUB. Prawnik. * 12. 1. 1864 w Warszawie. Kand. pr. uniw. warsz. 1888, nast. stud. w Heidelbergu. Wykł. prawo hipot. na Uniw. J. P. 1. 10. 1917, doc. tego przedm. 1. 4. 1919 do 31. 3. 1921. Sędzia Sądu Najw. Prokurator Sądu Najw. Prezes konsyst. ewang.-augsb.